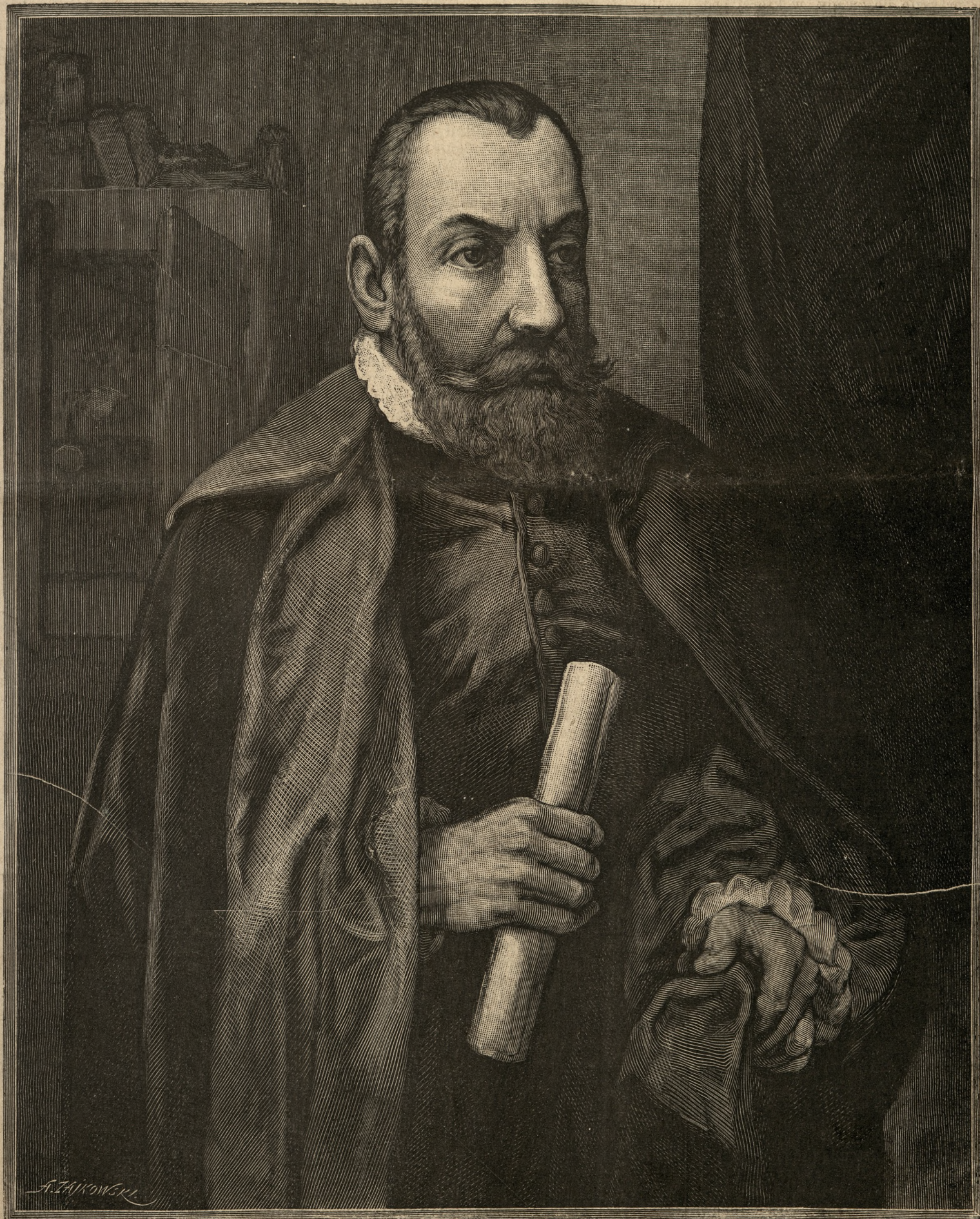


**D
L
U
S
Z
C
Z**

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



JAN KOCHANOWSKI († d. 22 Sierpnia 1584 r.).—Według nagrobka w Zwoleniu.

JAN KOCHANOWSKI

Z powodu 300-letniej rocznicy jego skonu.

W 1583 roku Stefan Batory wysłał jednego z dworzan swoich, Podlodowskiego, do Turek po konie. Podlodowski, wracając już z zakupem, spotkał wojsko tureckie, ciągnące na wojnę z Persją. Przywyklemu do wspaniałych strojów husarskich i petyhorskich, w epoce najwyższego rozkwitu wojskowości polskiej—wydali się Turcy bezładną zgrają obdartusów; przystanął tedy i jął się z nich naszmiewać. Pohańcy nie puścili mu tego płazem; przyszło do zwady, w której podkoniuszego królewskiego zabito. Podlodowski był blizkim krewnym, może bratem rodzonym, pani Kochanowskiej, owej-to Hanny w pieśni a Doro-oty w życiu, którą w starym już kawalerstwie pojawił się za żonę, poeta czarnoleski kochał i czcił jako „głowy swej koronę”. Poruszyło się w nim serce; zaczął przez stosunki swoje kołatać do dworu o pomszczenie krzywdy i zadośćuczynienie. Sprawa szła opornie: i król i Zamoyski mieli wiele innych, ważniejszych, które załatwienia czekały. Przez całą zimę 1583 na 4 wicherzyli Zborowscy; banita uwijał się po kraju, szydząc z powagi praw i władzy Rzeczypospolitej. Ujął go wreszcie Zamoyski i na zamku krakowskim ściał, w Maju 1584 roku. Szlachta, w której wicherzyiele posiadali silne stronnictwo, wzburzyła się; Krzysztof, brat Samuelowy, jawny prawie zdrajca, rozdmuchiwał rokosz: trzeba było radzić. Zwołał tedy król, z namowy Zamoyskiego, na Sierpień radę senatorów do Lublina. Z okoliczności tej skorzystał Kochanowski, aby sprawę swoją poprzeć osobiście: pojechał do króla. Może nawet nie otrzymał był jeszcze posłuchania, kiedy, prawdopodobnie w rozmowie jakiejś gniewem uniesiony, padł od apoplexyi. Stało się to 22 Sierpnia 1584 r. Pierwszy prawdziwy już poeta polski, ojciec poetów naszych,—nie żył. Zwłoki sprowadzono do Zwolenia, gdzie dotąd nagrobek świadczy o miejscu złożenia ich na wieczny spoczynek.

Do wspólnej trumny poszła i strzaskana przedwcześnie lutnia—przedwcześnie, bo jeżeli nie jedno jeszcze mógł wypiewać Kochanowski jako liryk, to w poezyi bohaterkiej, historycznej, jaka późniejszemu wiekowi przystoi, przy wyrobionym już artyzmie, w pięćdziesiątym czwartym roku życia długą jeszcze miał przed sobą drogę.

Odświeżając pamięć jego zgonu i czcząc ją publicznie—czy istotnie nie ulegamy tylko samochwalstwu narodowemu, radzi, że możemy się przystroić w blask nazwiska, o którym i obcy już od wieku przynajmniej wiedzą. Jest-że Kochanowski prawdziwie tak zasłużonym, jak opiewają jego pochwały? Co w nim jest jego historyczną, a co poetycką zasługą? Co wreszcie poza obrębem historycznego znaczenia, dziś jeszcze jemu samemu żyć pozwala, a nam czytać go i wczytywać się w niego nakazuje?

Urodzony w najpiękniejszej epoce humanizmu chrześcijańskiego, na trzy lata przed skonem Aryosta, w Padwie i Paryżu nabralł wykształcenia klasycznego, które samo przez się wystarczyłoby do uczynienia go jednym ze znakomitszych ludzi swego czasu i narodu. Kochał Starożytność, żył się z nią, umysł swój tak silnie formami rzeczywistego i umysłowego jej życia przejął, że potem już jako poeta świecki wyłącznie prawie w formach Starożytności klasycznej tworzył, i ztąd powstało to duchowe jego pokrewieństwo z Horacym, z Wergilim i Tybullem, ztąd poezye łacińskie, ztąd naśladowanie i przerabianie klasyków, ztąd wreszcie wiersze w stylu homerycznym i wszystkie te podobieństwa, jakie i między samymi poetami klasycznymi nietrudno znawcom literatury przedchrześcijańskiej wykazywać. Nie pozostała też poecie obcą i, rozwijając się coraz bardziej w epoce Odrodzenia, literatura narodowa włoska. Znał Danta i Petrarke, Aryosta i Tassa, a przerabiał współczesnego Vidę. Stosunki z najpierwszymi wyobraźnielami humanizmu wło-

skiego uszlachetniły tę samowiedzę, to *poczucie samego siebie*, jakie nam dawać zwykło wykształcenie. Znajomość z Ronsardem wprowadziła Kochanowskiego w zakres usiłowań współczesnych około wytwarzania nowej, narodowej, literatury. Obcowanie z rodakami, którzy do przodujących wówczas w cywilizacji i oświacie Włoch tłumnie zaglądali, utrzymywało łączność z krajem, z biegnącym współcześnie życiem i myślą narodową. Znadto trzeźwy i do świata doczesnego zwrócony, dla sporów o prawdy świata nadziemskiego nigdy się nie zapalał, zewnętrznego charakteru katolickiego nigdy się nie zaparł i do śmierci go zatrzymał, obyczaj narodowy szanował; nie tylko wszakże fanatyzmu nigdy nie objawił, ale nawet wcale katolickiego piętna na umyśle swoim, na twórczości i poezjach nie wycisnął. Był tylko chrześcijaninem szczerze wierzącym i jak nowinki żadne do niego przystępu nie miały, tak też nie znajdowała w nim uznania stężalość, odrętwialość i martwota w formach idei użyciu zmysłowemu oddana. Jakgdyby żył w samym środku natury ludzkiej, umiał zachować we wszystkim miarę i równowagę, jeżeli nie w chwili danej—bo krew miał gorącą,—to w całym pasmie dni swoich, lat i życia całego. Nie miał zwykłych wielkich ambicyi, ale miał jedną, może większą, od innych: chciał być zawsze sobą i przestawać na swoim. Wprowadzony przez jednego biskupa na dwór królewski, w drugim znalazł zaraz hojnego mecenasa. Pospolity człowiek byłby się rzucił lub wlaźł w zawód z charakterem i temperamentem niezgodny: Kochanowski pozostał sobą, a stosunek do Myszkowskiego umiał w przyjaźń zamienić i uznać wdzięcznością. Powróciwszy z zagranicy zapragnął życia w wielkiem mieście, i to go głównie do dworu pociągnęło; ale gdy w lata zachodząc zaczął, gdy dwór rojący się sprawami i troskami politycznymi, pozbawiony duszy kobiecej, wędrownie żyjący, bezładny jakiś i rozerwany, mimo wysokiego wykształcenia swego pana coraz mniej zaspakajał potrzeby umysłu, który w latach młodości płał w świetle i jego rozkoszach—Kochanowski osiadł wśród pól, lasów i łąk, stał się ziemianinem i z czasem, on, klasyk i humanista, zawałał o wsi: „który głos twej chwale zdoła?” Nie była to bynajmniej małość; był to tylko zupełny dobór warunków zewnętrznych dla wewnętrznej istoty. Spokojny, w równowadze trzymający się umysł Kochanowskiego tak potrzebował wsi, jak się potrzebuje ciszy i spokoju.

Życie polityczne zna Kochanowskiego tylko jako obywatela, ale dobrego obywatela. Urząd wojskowego, jak i w roku 1579 od Batorego otrzymał, był pomimo znacznych atrybucyi swoich urzędem nawskróś obywatelskim. Kasztelania Połaniecka Kochanowskiego dotychczas z mgieł się jeszcze nie wynurzyła, a misyje dyplomatyczne, jakoby powierzane mu przez króla, należały do rzędu niczem nie sprawdzonych podań, jakich pełno zamieścił w swej *Hekatomadzie* Starowolski, który pocciwie chwycił wszystko, co mu w ręce i pod oczy wpadło, ale niczego krytycznie nie roztrząsał. Służył też poeta i wojskowo. Jeżeli pod Radoszkowiczami (6 mil od Mińska na północo-zachód), nie był jako obywatel, był jako sekretarz królewski. Wogóle wszakże życie publiczne Kochanowskiego zamyka się w ponoszeniu ciężarów i żywieniu uczuć obywatelskich. Kochał swój kraj, spełniał powinności na wszystkich włożone, zajmował się wypadkami, które wszystkich zajmować musiały, wyrażał sądy swe o rzeczy publicznej, martwił się jej nieszczęściem, cieszył powodzeniem, wytykał wady i wskazywał drogę do poprawy. Gorąco odczuwał wszystko, co było wielkiem i jasnym i „z uchem przyłożonem do serca ojczyzny” umiał świetne jej chwile jędrnym, silnym wierszem potomności przekazywać. Na dworze nie był dworakiem i w *Satyrze* już (1563) niepodległość, wyższość swoje umysłową zaznaczył. Nie należał do żadnego stronnictwa, a raczej należał do stronnictwa rozsądku, przezorności, męztwa i cnoty, i tym duchem przejęte są jego: *Satyra*, *Marszałek*, *Dryas*, *Zgoda*, *Proporzec*. Jak protekcya biskupów i beneficja duchowne nie zrobiły z niego księdza, tak łaska Zamoyskiego nie przywiązała go do jego rydwanu. Po ucieczce Henryka uczest-

niczył w zjeździe małopolskim w Steżycy i na sejmie 1575 roku w Warszawie. Jego zachowanie się tam wskazuje, że nie był kreaturą kancelarską.

Taki był człowiek i obywatel; takiego ukazują poezye. Nie mamy może pisarza pomiędzy dawniejszymi, po którymby zostało mniej śladów nie-literackich, a któryby pomimo to z samej tylko literackiej spuścizny dał się dokładnie odtworzyć, i jako człowiek, i jako obywatel. Z poezyi widzimy, jak był szczerym i niczego nie ukrywał, nigdy nie kłamał i ani myśli swoich, ani uczuć w balony sztucznego natchnienia nie wydymał. Jak jego wesołość we fraszkach, tak jego smutek w pieśniach i elegiach jest zawsze szczerym, i właśnie dlatego, że nam się poeta w małości swej człowieczeń, w humorze swoim, bez wstydu ukazuje, możemy mieć pewność, że gdy znowu duchem zapłacze, gdy ręce do Boga wzniesie, gdy się w pierś uderzy, gdy wielkość i wdzięk świata odczuje, gdy królom i braciom swoim przestrożę i napomnienie da—w tej całej znowu wielkości swej nie chodzi na szczydach, nie gra komedyi, w osobistych lirykach tak powszechnej. Wyrazy u niego niewielkie, nie wyolbrzymione, ale tem ważniejsze. Szczerzy, głęboko wierzący chrześcijanin, jakiegośmy wyżej scharakteryzowali, od pierwszej już modlitwy do kraju z zagranicy nadesłanej: *Czego chcesz od nas Panie?*, aż do owego ateistycznego jęku rozpaczy w Trenach: *Jeżeliś jest*, ma w sobie ciągle głębokie tło religijne, jak dla życia, tak dla pieśni; ale jak w życiu, tak w pieśni, ani śladów dewocyi, zorganizowania tej religijności w pozytywny jakiś, indywidualnie występujący obyczaj. Poetycznym owocem takiego uczucia są psalmy—samo podjęcie pracy nad niemi jest już czynem religijnym. A co było z tem jednym uczuciem, to było i ze wszystkiemi. Maż prawy i poeta prawy.

„Kochanowski—powtarzamy tu słowa dawniej już o nim powiedziane—sam najlepiej określił swoje stanowisko w literaturze polskiej. On pierwszy „wdał się na skałę pięknej Kallio-py, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy”; on jest pierwszym narodowym poetą polskim; on wytworzył język, nie tylko dla poezyi, ale i dla prozy, a to, co on dla wiersza polskiego uczynił, wystarczyłoby mu samo do sławy w najpóźniejszej potomości, gdyby nawet treść wypełniająca formę kiedykolwiek przez czas utraciła swą wartość. Pod tym względem możemy bez uniesień, ale z czcią rozumem dla rzeczywistej zasługi nazwać Kochanowskiego „ojcem” naszego języka literackiego. Nie było w ówczesnej Europie poety, któryby na tem polu tyle uczynił dla narodu swego, ile Jan z Czarnolasu uczynił dla nas; nie było też, z wyjątkiem Tassa, żadnego, któryby, już jako poeta mógł się z nim zmierzyć. Nie jest wszakże Kochanowski oryginalnym, tak, jak oryginalnym być powinni poeci naszego wieku, których fantazyi nie już nie kępuje, nie wiąże: wychowany w klasycyzmie, zanurzony w nim zupełnie, nie mógł myśli swoich niekształtować na wzór klasyków. W poezjach łacińskich było to niuniknionem, w polskich powtarzało się wszędzie tam, gdzie przedmiot nie był ściśle narodowym, gdzie poeta ogólnym stosunkom i prawdom życia, jako mędrzec w duchu Horacego, wyraz odpowiedni nadawał. Można zatem, i do pewnego stopnia potrzeba, nazwać Kochanowskiego „Horacym polskim”; ale i ten Horacy przez formę, jest Kochanowskim przez treść, przez uczuciowość serca a rzetelność pióra i w rzadkich tylko wypadkach przestaje być sobą zupełnie już oddając się na wolę Starożytnym. Pięknie o nim powiedział Wiszniewski: „Przez język i mitologią grecką, przebija się cnotliwy obywatel polski i duch narodowy”. Ilekroć Kochanowski występuje jako naśladowca, artyzm jego jest klasycznym, umysłowość rzymską, a uczucie, duch bezwiednie działający—polskim i chrześcijańskim. Jako poeta oryginalny, nie ma Kochanowski na zawołanie wielkich pomysłów, wypadających z przestworów imaginacyi, niby rozrukane rumaki: na to zbyt późno zaczął pisać i zbyt był harmonijnym w sobie, rozsądnym a łagodnym; ale miewa wybornie malujące wyrażenia, miewa poetyczne obrazy, wdzięczne, silne, a nawet szczytne. Poezja jego często tylko do umysłu samego przemawia, jak to czyni

zawsze poezja Horacego; ale wtedy, gdy jest prawdziwie niepodległą, oryginalną—umie serce poruszyć, umie obraz przed duszą postawić, i choć dany charakter człowieka powołuje ją raczej do wyrażania uczuć, niż do malowania rzeczy, umie ona jednak plastycznie malować wypadki i wzruszenia cudze i epickim przemawiać tonem (*Wtargnięcie, Fragment, Odprawa*). Najwyżej pod względem oryginalności stoi Kochanowski w *Trenach*, które też na czele wszystkich jego utworów idą i w późne jeszcze przejdą wieki. W tych dwudziestu pieśniach kilkarazy tylko występuje mitologia, a dlatego tylko nie sprawia nam zadowolenia, że inaczej wykształceni niż Kochanowski — a raczej, wcale nie wykształceni w klasycyzmie—nie rozumiemy, nie znamy tych form antycznych i wchodzą też nam one w umysł, jak kolce. *Treny* ukazują nam najwyższy moment wzniesienia się poety w całej jego trzydziestoletniej działalności.

Nawet w pożądaniu sławy był szczerym: nie udawał skromnisią, gdy czuł swą siłę i poczynającą się za życia nieśmiertelność. Kochał sławę, oczekiwał jej, ale znowu tak gorączkowo po nią nie sięgał, jak Słowacki. Sława nie była dlań celem, była jakby mimowolnym rzutem jego czynów doczesnych, jego poezji, na nieskończoną płaszczyznę czasu. On, trzeźwy przez rozsądek, a skromny przez mądrość, wiedział, że „sława jedna zostaje po człowieku“ — i dlatego modlił się do Muz:

„Proszę, niech zemną zaraz me rymy nie giną,
Ale, kiedy ja umrę, one niechaj słyńą.“

a potem miał już nadzieję:

że przed się za laty,

Nie będą moje czułe noce bez zapłaty;
A co mi za żywota umie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodi z lichwą wiek późniejszy;
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony“.

Nie, nie jest i nie będzie wzgardzony; ale pamiętajmy, że prawdziwe pomniki wznosimy poetom tylko przez czytanie ich dzieł. Kto książki polskie czyta, a Kochanowskiego nie zna — ten sam wyłącza się ze społeczności umysłowej, w której właśnie żyć, wzrastać i kształcić się jest obowiązany.

S. K.

POGA WĘDKA.

Warszawa się zaludnia; pierwsze, choć jeszcze lekkie, powiewy jesienne dają się już czuć w powietrzu, wieczory i ranki coraz chłodniejsze, liście powoli żółkną i opadają, a w całej naturze zaczyna się przebijać ta odrębna polychromia, która jest jakby ostatnim wysiłkiem życia jej przed skonaniami.

Pomimo świetnych urodzajów i wyjątkowej pogody w czasie sprzętu pól, przednówek ciężko daje się uczuwać w niektórych miejscowościach, — zwłaszcza w okolicach przez powódź nawiedzonych.

Zbliżająca się pora siewów wyprowadzi znów na porządek dzienny kwestyą zapomogi dla nieszczęśliwych powiślan. Bogu dzięki, przypuszczenia złe i postrachy skutków ostatniej klęski nie sprawdziły się, pomimo wszelkich danych potemu.

Komitety wspaniałe krzątają się około zebrania jak najwięcej ziarna i nasion w celu rozdania ich pomiędzy poszkodowaną ludność i uchronienia jej od groźniejszych skutków głodu i niedostatku w roku przyszłym. Napływające ofiary ze strony dobroczynnego ogółu noszą tę wyraźną firmę i przeznaczenie najwłaściwsze.

Oby tylko niebo nie zechciało skapryścić i po św. Bartłomieju nie zaczęło wylewać tych wszystkich deszczów, jakie w ciągu lata i żniw łaskawie powstrzymywało. Wilgotna pora podczas siewu wcale nie byłaby pożądaną.

Czy plony tegoroczne poprawią trochę interessa ziemian naszych — trudno z góry przewidywać; takby się wszelako spodziewać należało, ale losy przyzwyczały nas do ciągłego niedowierzania nawet chwilowemu powodzeniu.

Ze względu na wiele spraw bardzo blisko dotyczących naszego ziemiaństwa a wymagających wspólnego porozumienia się i wyszukania środków poprawy interesów i stosunków gospodarstwa wiejskiego, odzywają się głosy z projektem urządzenia wiecu rolniczego podczas przyszłorocznej wystawy krajowej w Warszawie.

Projekt to godny poparcia, jak wszystkie, dążące do poprawy naszego dobrobytu, poznania naszych ujemnych stron i zaradzenia złemu siłami wspólnymi.

Przypomnieć też należy, że ziemianie nasi skorzystają z dobrej myśli i z dogodnej sposobności; spodziewany udział inteligentniejszej części obywatelstwa krajowego w Warszawie podczas zapowiadanej wystawy rolniczo-przemysłowej, która jaknajszersze koła zainteresować powinna, zapewniłby kongresowi moralne powodzenie i rezultaty, w praktycznym kierunku nadające się do spożytkowania.

Wiece przemysłowców i leśników, odbyte w naszym mieście, zachęcającym mogą być przykładem.

Jedna, niestety, fatalność brzdzi zawsze w naszych sprawach i projektach: oto brak wytrwałości w przekuwaniu słowa na czyn; mówić lubimy dużo i z tem sejmikowym oratorstwem, które nam w spuściznie po ojcach pozostało, ale skoro słowa ulecą, śladu nie wiele, a najczęściej zupełnie nic po nich nie pozostaje.

Frazes—oto wszystko zazwyczaj; frazes w mowie, frazes w życiu, frazes w zamiarach i czynach przeważa na naszą biedę.

Gdybyśmy umieli tak pod nasze słowa czyn podkładać, jak nasi pobratymcy Czesi, których weszłym tygodniu podejmował tak hucznie i gorąco stary Kraków w gościnie, ileżby dotychczas spełnionych zamiarów i dobrych chęci, pożytecznych pomysłów i postanowień ziszczonych zapisało się w księdze naszego żywota...

Prawda, że są bardzo ważne różnice w stosunkach czeskich i naszych, ale są, niestety, i różnice w naszym narodowym i indywidualnym charakterze, które przeszkadzają nam upodobnić się synom dzielnej Bohemii.

Naród to z prawdziwie męską energią i dojrzałością; co sobie powie — a słów na wiatr nie zwykł rzucać — tego i dotrzyma, co postanowi, to wykona, solidarnie, zgodnie, wytrwale. Weźmy za przykład, choćby taką ostatnią wycieczkę gimnastyków czeskich, pod nazwą „Sokołów“, urządzoną w gromadzie przeszło półtora tysiąca osób do Krakowa. Postanowili, przyjechali — i przedstawili się, jako zwarta, silna, karna i dzielna massa, pełna życia, werwy i poczucia swej siły.

Niechajby u nas, przypuścimy nawet, że nie z Warszawy, wybrać się miała podobna gromada w odwiedziny do braci Czechów; wycieczka nie przyszłaby do skutku prawdopodobnie, a gdyby przyszła z wielkim wysiłkiem, znalazłaby się za ledwie trzecia część ochotnych, któraby zdecydowała się odbyć podróż do Pragi po to tylko, aby bratnim uściskiem stwierdzić uczucia dwóch plecion słowiańskich.

Duch assocjacyi, który Czechom dodał takiej siły i powagi, w nas tli za ledwie; prywatnie, zaściankowość, sobkowstwo, małostki życia, o jakich męzki, dojrzały naród nie pomyślałby nawet, zajmują nas, jak dzieci.

Pochlebia nam życzliwość Czechów, jak pochlebia wyrostkowi wątłemu i słabemu, gdy go silny i dzielny męzczyzna weźmie pod ramię i zrówna ze sobą, ale dopóki nie postaramy się dorównać im na prawdę dojrzałością naszą, charakterem naszym, równowagą umysłową, — dopóty nie będziemy mieli słusznych powodów chełpienia się i radowania z ich życzliwości.

W tym samym czasie, w którym Kraków ugaszczał Czechów, — Płock podejmował w swoich murach kilkudziesięciu Warszawiaków, którzy pod firmą Towarzystwa Wioślarskiego urządzili drugą po dwóch latach wyprawę do starego mazowieckiego grodu nad Wisłą. Tasama serdeczna

życzliwość, tensam zapał i objawy sympatii, powitały naszych wioślarzy, co za pierwszą bytnością; tensam program również wypełnił dwa dni pobytu w gościnie u Płoczan, z tą różnicą, że i nadobne Płocczanki przyjęły udział w wieczorze, jaki reursa miejscowa urządziła na cześć swoich gości.

Regaty i ognie sztuczne na Wiśle przysporzyły około rs. 200 dochodu celom dobroczynnym. Ciche miasteczko zawrzało żywszem tętnem, rozbudziło się z całorocznej drzemki, i dlatego z podwójną wdzięcznością tak podejmowało Warszawiaków.

Jako widoczny wpływ tych odwiedzin i skutek zachęty naszych wioślarzy służył zawiażek podobnego towarzystwa pod godłem „pływającej Syreny“ w Płocku. Kilka łodzi kołysze się już u brzegów miasta, a sformowane załogi, wiosłują z takim przejęciem, jakgdyby wybrać się zamierzają conajmniej do Gdańska w roku przyszłym, jeżeli nie zbierze się im na odwagę popłynąć przeciw wodzie i oddać wizytę kollegom po wiosłach w Warszawie.

Miłośnicy rzeczoności sportu czynią starania w celu założenia osobnego towarzystwa płockich wioślarzy, a spodziewać się należy, że zamiaru swego dokonają szczęśliwie.

Wogóle u nas w kraju więcej-by należało dbać o rozwój sił fizycznych, muskularnych; więcej pracować nad rozwinięciem organizmu, zwłaszcza młodszego pokolenia. Pisze się o tem i mówi przy każdej sposobności, ale robi się bardzo niewiele. Galicya pod tym względem poszła znacznie naprzód za przykładem zagranicy; dzisiaj już posiada swoje towarzystwa gimnastyczne i własny specjalny organ wydawany we Lwowie p. t. „Sokol“, a w szkołach średnich zaprowadzono naukę gymnastyki, która jak najlepsze wydaje rezultaty. U nas o towarzystwach osobnych, mówić nie łatwo, ale istnieją przecież zakłady, w których można przy dobrej chęci uczyć się i gymnastyki i jazdy konnej, i pływania, i śpiewu chóralnego, rozwijającego nader skutecznie klatkę piersiową, a jednak — jak mało osób korzysta z tego!...

Towarzystwo wioślarskie liczy dziś z górą tysiąc członków, z tych wszelako bardzo nieznaczna część zasługuje na miano rzeczywistych wioślarzy, a jednak rezultaty pod względem przyrostu zdrowia i sił u tych, co wolne chwile poświęcają ćwiczeniom muskularnym bądź-to na łodzi, bądź w sali gymnastycznej i fechtunkowej, powinna być i pouczającą i zachęcającą. Ale, niestety, nie zwykliśmy rzeczy brać poważnie.

Odzywały się głosy o zamiarze założenia towarzystwa wioślarskiego dla kobiet; kilka nawet odważniejszych pań dawało dobry przykład; ale lato minęło; projekt poszedł w odwłokę i skończył się wszystko na niczem.

W ostatnich zeszytach „Przeglądu Pedagogicznego“ znaleźliśmy artykuł poruszający kwestyą nauki pływania, do której chce autor skierować interwencyą szkoły; zapewne, byłoby to najlepiej. Łatwiej mogłaby rzecz całą przeprowadzić interwencya prywatna, gdyby na dobrych chęciach nie brakło.

Ale u nas higiena staje zwykle na ostatnim planie i nie weszła jeszcze... w modę.

Jako objaw ruchu assocjacyjnego zanotować nam przychodzi starania podjęte przez grono młodych i energicznych pracowników Flory i Pomony w celu założenia Towarzystwa Ogrodniczego. W redakcyi *Ogrodnika Polskiego* odbyły się już narady nad zatwierdzoną ustawą, przybędzie nam tedy znowu jedno zwarte i pożyteczne ogniwo więcej w łańcuchu naszych prac organicznych.

Drzeworytnicy warszawscy krzątają się też około założenia własnej kasy oszczędnościowo-pożyczkowej; projekt ten powinien być powstać już dawno pośród pracowników ryłca, zagrożonych dziś konkurencyą, jaką im sprawia nowy sposób wytrawiania rysunków w rodzaju *fac-simile* z zachowaniem całej wierności oryginału, a którym coraz więcej zaczynają się na wzór zagranicy posługiwać nasze pisma ilustrowane.

Wobec coraz cięższych warunków bytu i utrzymania powinni się ludzie na rozmaitych polach kupić i solidaryzować, wspólnymi siłami zabez-

pieczając sobie środki pomocy i ulżenia losu. Przechodzimy twardą i grudnistą drogę przesilenia, a już nie o dojsiu do jakichś wyższych celów, ale o to, by wlec się choćby z podbitymi nogami, a nie upaść—idzie dzisiaj każdemu.

Ostatnie lata były dziwnie ciężkie i niepomysłne dla wszystkich; stagnacja finansowa i przemysłowa uczuć się daje wszędzie, a najbardziej tym biedakom, żyjącym z dnia na dzień jedynym kawałkiem chleba, jaki własnymi rękoma zapracują. Brak większego zarobku gnębi cały pracujący ogół, fabryki musiały zmniejszyć ilość robotników, rzemieślnicy klepią biedę i wyglądają lepszego jutra.

Oczywa się to ogólną reakcją; w kassach pożyczkowych dla rzemieślników ciągle pustki, a prośb o pożyczki bez liku. Najrzetelniejsi zalegają w opłacie rat, bo im na pięć złotych oszczędności tygodniowo nie starczy.

Przeszło sto pozwów musiano wysłać sądowi dłużnikom, a pomimo dobroczynnego charakteru instytucji, trzeba będzie uciec się do surowości prawa, przy ściąganiu zaległych funduszy, bez których cała działalność kas może być sparaliżowaną.

Jednym z powtarzających się kłopotów w obecnej porze jest brak miejsc w szkołach i zakładach naukowych; młodzieży docisnąć się trudno do gymnazyjów i szkół realnych, wszystkie klasy i oddziały przepełnione. Ulgę tylko wieceł pożądaną pod względem wydatków spowodować ma rozporządzenie ministerjalne co do ograniczenia zbyt częstej zmiany podręczników szkolnych. Bywało dawniej, z jednej książki uczyło się całe pokolenie, dzisiaj mądrość drukowana w kilkunastu egzemplarzach, zmieniała się niemal dwa razy do roku, według polecenia i metody panów nauczycieli. Książki szkolne, obok opłaty wpisowego, stanowiły bardzo ciężki a nieodzowny wydatek dla niezamożnych rodziców; obecnie ma być lepiej i lżej, choćby z tego względu, że żaden nowy podręcznik nie może być zmieniony, zastąpiony dowolnie innym przed upływem dwóch lat. Pozwoli to na zaoszczędzenie kilkudziesięciu złotych, a i to bardzo wiele.

Z rozpoczęciem kursów zacząć się z konieczności nowe nawoływania do ofiarności publicznej w celu ułatwienia wpisu biednym uczniom; trudno: dać trzeba, skąpieć niepodobna, niechając obywatelskiego sumienia obciążać zarzutem, bardzo ważnym i niehonorowym.

Przyszłość odda nam to z procentem, co dzisiaj poświęcimy dla naszych następców.

Zresztą, mała to tylko cząstka tego, co by czynić należało dla naszej młodzieży, chcąc jej naprawdę pomódz i rękę podać, — chcąc choćby w przybliżeniu zrobić to dla oświaty, co inne cywilizowane, a nawet nie owiele od nas bogatsze, społeczeństwa poświęcają u siebie.

Z godniejszych pamięci wypadków naszej kroniki potocznej zapisać winniśmy przyjazd do Warszawy sędziwego starca z młodzieńczą duszą, ukochanego przyjaciela i kolegi Mickiewicza, jednego z ostatnich filaretów wileńskich, Ignacego Domejki. Po pięćdziesięciu latach pracy, zasług, życia na obczyźnie, były rektor i organizator uniwersytetu w Chili, powrócił z Kordylierów i Oceanu do rodzinnego kraju, a chociaż dziewięty krzyżyk dźwiga na swoich barkach, dusza, umysł i serce zachowały coś z tej świeżości i młodości, jakiej nie znajdzie dziś w dwudziestoletnich wnukach i pogrobowcach tego pokolenia, które „siły mierzyło na zamiary“.

Domejko znalazł u progu rodzinnego domu ostatniego już druha i towarzysza lat młodzieńczych, A. E. Odyńca i z nim razem wybrał się do swoich na Litwę.

W Warszawie zgotowano mu skromne, ale serdeczne przyjęcie, otwarto ramiona i pochylono głowę przed przedstawicielem i świadkiem dalekiej przeszłości.

Dziwnie ujmującym rysem w charakterze Domejki jest jakaś gołębia prostota i skromność, tak bardzo odbijająca od buty i zarozumiałości wielu młodzików, którzy nie jeszcze nie zrobili, niczem się nie odznaczyli, nic po sobie nie zostawiają, a radziby głowę całego ogółu pochylić przed sobą

i postawić na niej nogę z tryumfującą miną zwycięzców.

Popatrzymy na nich po pięćdziesięciu latach, jeśli ich dojrzyć jeszcze będziemy mogli, i jeżeli jak przedtę bańki nie rozprysną się bez śladu...

Domejko po odwiedzinach na Litwie wraca na czas jakiś zagranicę, aby potem osiedlić się gdzieś w cichym kącie, wśród swoich, i nacieszyć się widokiem ojczystej ziemi, której przez półwieku nie miał przed swojemi oczyma.

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

W TARNOWIE.

(Ciąg dalszy).

VI.

Najważniejsza sprawa w dalszym ciągu.

Obrona pani Ścisławskiej, widok słabej kobiety, pracą nadwątłonej, stojącej na czele kobiet w obec kilkakroć liczniejszych mężczyzn, wysilającej głos słaby i przywołującej z wysiłkiem całą energią myślenia, aby zapanować nad szmerem i nie stracić wątku w obec ciągłych nieparlamentarnych przeszkód; wszystko to zrobiło na nas, a sądzimy, że i na innych, niezwykle wrażenie. Ci wszyscy, przed którymi dzwonek przydującego zasłaniać musiał kobietę, dowiedli, że im daleko jeszcze do miana ludzi dobrze wychowanych i wykształconych. Przypomniały się nawet wszystkim słuchaczom przysłowiowe nożyce, gdy na wzmiankę o nauczycielu, który nie z jednego pieca chleb jadł, jeden z obecnych przerwał mówiącej żądaniem, aby prezes do porządku ją przywołał.

Z przyczyn niezależnych, bo z przyczyn pożaru, który gwałtownie wybuchnął w bliskości sali obrad, przemówienie pani Ścisławskiej pod koniec przerwane zostało. Złośliwie zauważyły gazety galicyjskie, że silna połowa rodzaju ludzkiego, panowie pogromcy kobiet, dali dowód słabości, skoro pierwsi na głos trąbki pożarnej przyczynili się do poruszenia w sali, co zmusiło prezesa do chwilowego zawieszenia obrad. Pożar, pochłonawszy magazyn zbożowy i kilka drobnych oficyn, został opanowany, a pani Ścisławska w przerzedzonym nieco audytorium przemówienie swoje dokończyła.

Silnie bardzo poparł panią Ścisławską pan Starzecki, zapytując przedewszystkiem pana referenta: czy kobiety nauczycielki uczestniczyły w układaniu tych wniosków; odebrawszy od tegoż przeczącą odpowiedź, mocno skrytykował wniosek, który wprost nazwał „niezgodnym ze zdrowym pojęciem.“

Ponieważ do głosu zapisało się kilkunastu mówców, wybrano więc, jak zwykle w takich razach, mówców generalnych: za wnioskiem, t. j. przeciw kobietom przemawiał pan Stanisław Tokarski ze Stanisławowa, przeciwko wnioskowi, t. j. za kobietami przemawiał Dr. Benoni.

Wywody pana Tokarskiego nie były pozbawione pozornej przynajmniej słuszności. Mówca za punkt wyjścia wziął te trudności stanu nauczycielskiego, które przechodzą siły kobiet, jak np. utrzymanie rygoru w licznej bardzo szkole; zaznaczył przytem, że przy dzisiejszym praktycznym kierunku szkoły, gdzie idzie o gospodarstwo rolne, rzemiosła, pszczelnictwo—w czem nauczyciel ma być żywym przykładem, kobieta z natury rzeczy nie posiada warunków spełniania obowiązków nauczyciela wiejskiego. Zarzut zaś, jakoby nauczyciele odbierali chleb kobietom, upada, skoro zauważymy, że nauczyciele mają matki, żony, siostry, córki, tworzą rodziny, na utrzymanie których pracują. Przewodnictwa w wychowaniu płci żeńskiej mówca kobietom nie odmówił i oświadczył się za opuszczeniem ostatniej części wniosku,

mającego pozbawić kobiety kierownictwa w wyższych klassach żeńskich.

Łatwiejsze miał zadanie Dr. Benoni, tem łatwiejsze, że wrodzonemu darowi wymowy przysłała w pomoc zręczność oratora. Dowiódł on jak na dłoni, że właśnie dla tego praktycznego kierunku dzisiejszej szkoły ludowej, kobieta jako nauczycielka, jest na wsi pożądaną; ona najłatwiej zaszczepli ziarno moralności w dziatwie, ona jedna potrafi najskuteczniej wpłynąć na złagodzenie obyczajów ludności wiejskiej, zaprowadzić ład, czystość, przyuczyć do pracowitości i prawości, nauczyć dziewczyny wiejskie szycia i gospodarstwa domowego. Pojedyncze fakta, wzięte z praktyki, na rozstrzygnięcie kwestyi wpłynąć nie mogą; jak bowiem były wypadki, że nauczycielka nie umiała energicznie postępować na wsi, tak znowu bywało, że włościanie konieczności nauczycielki do swej szkoły żądali, motywując: „jak będzie nauczycielka, to kobiety zaraz będą porządniejsze.“ Oburzał się mówca na to, że silniejsi chcą zdobyć prawa kosztem słabszych, że nauczyciele, chcąc otrzymać zyskowniejsze posady, chcą z nich wyprzeć nauczycielki, a przecież to najzaszczytniejsze ich stanowisko. Z przekonania mówił, że nie jest za zbytnią emancypacją kobiet, ale nie przypuszcza nawet, aby ktokolwiek, co w postępie i humanitarności naszych czasów wierzy, mógł obojętnie przypatrywać się degradacji kobiet. Równe kwalifikacje, równe obowiązki, równe prawa! (Kobiety przez powstanie podziękowały dzielnemu obrońcy).

Szczery oddaliśmy i tu jeszcze oddajemy poklask referentowi, p. Jerzemu Kawalcowi, który ze względu na przekonywujące wywody mówców, ze względu, że kobiety nie brały udziału w opracowaniu wniosków, że tu idzie właściwie o siostry i córki nauczycielskie, ze względu na reprezentacyjną opinię publiczną (tu zwrócił się do stoła sprawodawców)—od wniosku odstąpił. Wywołało to poruszenie w sali, towarzysze wiecowi zażądali porozumienia z referentem—poczem zażądali głosowania, jakoż wniosek z poprawką utrzymał się większością głosów; wniosek ten, wyżej przytoczony, orzeka, że kobiety w szkołach męskich żadnej nie mogą zajmować posady, w szkołach zaś mieszanych nie mogą mieć posad samostnych. Jest to sobie wprawdzie tylko prywatna uchwała nauczycieli, przeprowadzona większością głosów; o wprowadzeniu jej w życie nie ma co mówić; w każdym razie wpłynąć ona może na pewne zmodyfikowanie stanowiska kobiet jako nauczycielek, a obecnie wpływa moralnie na nauczycielki, zniechęcając je do zawodu, w którym jej koleżki takie podstępne stanowisko wyznaczają.

Gdyby nas pięknie... chciałem powiedzieć poważne czytelniczki zapytały o zdanie w tej materii, odpowiedzielibyśmy w krótkości: dążymy wszyscy do równości, wszelkie więc wyłączenia, zwłaszcza w stanie nauczycielskim uważać musimy za wsteczne. Przed udziałniem, specjalnością i osobistą zasługą ustąpić powinny wszelkie inne względy. Dowiedziona jest wprawdzie rzecz, że kobieta postawiona na czele zakładu, odstąpi od regulaminu, czyniąc go zależnym od temperamentu, od osobistych niechęci i upodobań, nie potrafi utrzymać rygoru, a część administracyjno-biurową w zamęt wprowadzi; aż nadto przekonaliśmy się o tem, że kobieta, jako nauczycielka na wyższej posadzie, nie czuje bodźca do dalszego kształcenia się, ziewa na lekcjach, bierze rozbrat z książkami i wkrótce pisać ortograficznie zapomina. A cóż dopiero mówić o samodzielności w sztuce pedagogicznej; o ulepszeniu metody, o naukowej pracy na tem polu! Z tych faktów nie można jednak wyprowadzać generalnego prawa na potępienie kobiet. A wobec tego czy wszyscy nauczyciele są bez zarzutu? Nie kobieta więc lub mężczyzna ma mieć takie lub inne prawa, ale ta lub ten, co potrafi najlepiej spełnić przyjęte na siebie obowiązki.

Krótko już tylko przedstawimy inne sprawy komitetu kołomyjskiego, skoro sprawa kobieca tyle nam czasu i miejsca zajęła. Bardzo ważną była kwestya podniesienia płacy nauczycielskiej. Dotychczasowe płace są, w szkołach państwowych 300, 400 i 500 złr., w szkołach zaś wydziałowych 500, 600 i 700 złr. Są przecież jeszcze po miastecz-

kach posady nauczycieli-pomocników, wynoszące mało co więcej od 200 złr. Konieczność podwyższenia płacy nauczycielskiej jest tak bijąca w oczy, że kwestya ta opozycyji nie wywołała: owszem, projektowane cyfry zgromadzenie jeszcze podwyższyło; uchwalono więc płacę w szkołach pospolicznych 450, 600, 700 i 900, w szkołach wydziałowych 800, 950 i 1.100 złr. Nadmieniamy, że dołączają się jeszcze do tego pięcioletnie dodatki. We wnioskach komitetu kołomyjskiego płace nauczycielek były niższe o 25% niż nauczycieli, o czem nie było już mowy na zjeździe.

Reszta wniosków, którą referował p. Grzegorz Blij, prędko — bez motywów załatwiona została; a wszystkie razem przekazano Zarządowi głównemu do energicznego ich popierania u posłów i u sejm. Komitet wiecowy postawił jeszcze na porządku dziennym rzecz ważną: „O wadliwościach dotychczasowego planu naukowego w szkołach ludowych,“ która dla braku czasu nie mogła przyjść pod obrady, podobnie jak i kilka innych kwestyi zajmujących.

VII.

Zakończenie zjazdu.

Po załatwieniu najważniejszej sprawy, t. j. wniosków komitetu kołomyjskiego, pozostało bardzo mało czasu na zakończenie zjazdu: potrzeba było, jeśli już nie wyczerpać porządek dzienny, to przynajmniej poruszyć sprawy niecierpiące zwłoki i załatwić konieczne formalności. Spadło kilka numerów z porządku dziennego jak np. interessujący bardzo referat inspektora szkolnego, Bolesława Baranowskiego, redaktora „Szkół“ — o jubileuszu Jana Kochanowskiego; inne zaś załatwiono bardzo pośpiesznie, sposobem welocypedowym. Nie zajmując się tutaj sprawami, mającemi znaczenie tylko dla członków Towarzystwa, jak np. lustracje, sprawozdania i rozprawy rachunkowe; zaznaczając, że wybory na prezesa (Sawczyński), wice-prezesa (Gerstman) i członków Zarządu Głównego odbyły się bez najmniejszej opozycyji w myśl konserwatywnego projektu, wysłanego z Zarządu; zatrzymamy się tylko pokrótce nad niektórymi referatami i uchwałami zjazdu.

Sprawę burs dla synów nauczycielskich uważamy za bardzo ważną, przedstawiał ją na zjeździe dyrektor Maciołowski, jako referent Zarządu Głównego; objaśnień i szczegółów w tej materyi udzielił nam łaskawie sam referent.

Z rozpatrzenia jej tu zyskamy nieco jeszcze światła do, tak szeroko traktowanego na zjeździe, stanu materialnego nauczycieli; zainteresować też może, sądzą, nasz ogół, tak skory do niesienia wszelkiej pomocy. Bursy wprawdzie jako internaty mają swoich przeciwników: nam w tej chwili nie idzie o to, lecz tylko o pomoc dla kształcącej się młodzieży, a temsamem i dla jej niezamożnych rodziców w takiej lub innej formie: nic łatwiejszego jak dochody, z których się utrzymywała bursa, w razie jej zniesienia, zamienić na stypendya. Pytanie: czy przy naszych terażniejszych stosunkach szkolnych bursy, jako wspólne mieszkania młodzieży, gdzieby kierunek moralny i kształcenie charakteru ściśle były przestrzegane, nie dałyby się korzystnie zastosować? Na gruncie galicyjskim rzecz ta przedstawia się mniej więcej w sposób następujący.

Jednym z celów Towarzystwa Pedagogicznego, wyłuszczonego w 1 § Statutu tegoż Towarzystwa, jest udzielanie wzajemnej pomocy stowarzyszonym tak moralnej, jak i materialnej; doniosłego jest znaczenia pomoc, dana rodzicom niezamożnym w kształceniu dzieci: dlatego też zadaniem Towarzystwa winno być między zaopiekowanie się dziećmi nauczycieli wiejskich, zakładanie burs dla nich. Ustawa szkolna z roku 1873 przyczyniła się znacznie do polepszenia stosunków szkolnych w Galicyi; pod względem jednak uposażenia nauczycieli, zwłaszcza wiejskich, pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Wprawdzie ustawa oznacza *minimum* rocznej pracy stałej na 300 złr., nie przeszkadza to jednak istnieniu nie-

równie niższych płac; potworzono tak zwane szkoły filialne, które tem tylko różnią się od etatowych, że w nich nauczyciel ma 250 złr. rocznej płacy, a nadto jest wiele posad drugich nauczycieli przy szkołach miejskich i małomiejskich z roczną płacą 210 złr. Gdy do tego przy tak szczupłych płacach zabroniono nauczycielom wiejskim wszelkich ubocznych, aczkolwiek godziwych zajęć, jak: organistwo, pisarstwo gminne, korepetycje i t. p., stan materialny niektórych nauczycieli, zwłaszcza tych, co mają liczną rodzinę, nie polepszył się wcale, jest opłakany. A gdy przyjdzie pomyśleć o wysłaniu dzieci do szkół średnich, położenie ojca przedstawia się w całej grozie. Jeżeli nadludzkim jakim wysileniem nie zdobędzie się na jakitaki fundusz do umieszczenia dzieci w większym mieście, musi z boleścią patrzeć na to, jak beczynnym marnują najpiękniejsze lata niepowrotnej młodości na wsi, albowiem nawet zawód rolnika jest dla dzieci nauczyciela wiejskiego nieprzystępny, z tej prostej przyczyny, że go nie stać na kupienie dziecku kawałka roli, na którejby się ciężkiej pracy oddać mogło.

Przypuszcmy, iż nauczyciel wiejski zdobędzie się z uszczerbkiem własnych i reszty rodziny najniezbędniejszych potrzeb na skromny fundusik, za który umieści swe dziecko na taniej stancyi w większym mieście. Opłakane to pomieszczenie. Ież-to dzieci traci zdrowie, upada moralnie, marnieje umysłowo na takiej stancyi, gdzie o przestrzeganiu zasad higienicznych, o pedagogicznym kierunku, o dostatecznym nadzorze, o pomocy naukowej — nie może być mowy; dobrze jeszcze i szczęśliwie trafił ten ojciec, który nie naraził dziecka na takiej stancyi na jawne zgorzniecie. Od kilku lat Towarzystwo Pedagogiczne poruszało tę sprawę i ponawiało usiłowania, aby w tym względzie nauczycielstwu ludowemu przyjąć w pomoc przez zakładanie burs przy oddziałach towarzystwa dla synów nauczycieli szkół ludowych.

(Dokończenie nastąpi).

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Gorąco tylko oparł się tej myśli ofiary dla matki — i radził w ostateczności przynajmniej starać się zyskać na czasie.

— Pan nie wiesz — dodała Michalina — że matka moja właśnie, czując się może gorzej, niż jest w istocie, nalega na pośpiech; utrzymuje, że nie ozdrowieje, póki nie zapewni mi przyszłości.

Fredzio, szczęściem, przy tej drugiej kilkunastoletniej bytności w Zaborowie nie śmiał, czy nie mógł, ani matce, ani córce oświadczyć się wyraźnie.

Misia, zwlekając, rozumieć go nie chciała. Wyjechał więc bardzo smutny; ale w parę tygodni potem Zawierska odebrała list od starego barona z Wiednia, w którym on już jasno stawiał kwestyę — i oświadczył się w imieniu syna.

Z bijącym sercem matka, niemal przyklekając przed córką, obejmując ją, pieszcząc — dała pismo do przeczytania. Rozplakała się Misia pocichu i oddała je, nic nie mówiąc.

Można odmalować, co później zaszło między niemi? Matka tak kochała córkę, Misia tak była przywiązana do matki! Zawierska byłaby nawet zwyciężyła odrazu, ale spostrzegła na twarzy córki taką boleść i trwogę, że sama pomiarkowała, iż powinna była dać przynajmniej czas do namysłu i oswojenia się z tą — ofiarą.

Odpowiedź więc nie brzmiała odmownie, ale Zawierska zaklinała o wytrwanie i cierpliwość. Tłumaczyła to charakterem córki, który potrze-

bował czasu, aby wrażeniu uleść i postanowienie wyrobić w sobie stanowcze. Zapraszała Alfreda, kończąc list zapewnieniem, że wszystko się skończy szczęśliwie i że ona będzie najszczęśliwszą. los córki powierzając kochanemu baronowi.

Była to tylko zwłoka chwilowa — a koniec łatwo dawał się przewidzieć. Michalina na duchu się przygotowywała do ofiary dla matki.

Straciwszy nadzieję jakiegoś szczęścia marzonego dla siebie, chciała przynajmniej dać je dobrej, kochanej swej matusi.

Baron nie budził w niej wstrętu. Wielkiej niedoli z nim, tak jak wielkiego szczęścia, się spodziewać nie mogła. Był dobrym, łagodnym i kochał się w niej, ale zarazem była to jedna z tych istot, których ani umysł ani serce nigdy się wysoko dźwignąć nie dadzą. Można w nim było przewidzieć namiętnego kochanka, łagodnego męża, płochego później człowieka i zimne stworzonko, które w sobie żyć będzie, nikomu się nie naprzykrzając, aby tem własny okupić spokój.

Misia mówiła sobie, pocieszając się, że i gorzej trafić się mogło.

Wierzbęta, który o wszystkim był zawiadomiony, przeląkł się niezmiernie. Miał nadzieję, że Sylwana dźwignie i postawi go na równi z Michaliną, ale na to potrzeba było czasu; niemogąc się jej wypowiedzieć otwarcie, pobiegł, zaklinając ją i powstrzymując matkę, ażeby nie śpieszyła ze słowem stanowczym i ostatnim.

Michalina z mowy jego domyślać się mogła, iż coś przedsiębrał, czegoś się spodziewał, lecz posadzała go o marzycielstwa, nie miała wiary — przyjęła go obojętnie.

W duszy już ofiara była spełnioną. Wojtek tymczasem, obawiając się, aby zwłoka i niezręczność Pruszczyca w chodzeniu około interessu nie zniszczyły wszystkich jego nadziei, rozpaczliwie wybrał się na Ukrainę.

Pocziwy przyjaciel musiał nie tylko poświęcić swój byt spokojny, rzucając dom, w którym mu tak dobrze było, ale w dodatku kłamać przed Terenią, której się przyznać do tych zachodów awanturniczych nie śmiał.

Do Pańkowszczyzny Pruszczyca trafić było łatwo, zastać go w niej — daleko trudniej. Handlował końmi, chartami i jeździł gdziekolwiek mu zielony stolik zapachniał. Musiał na tem pustkowi Wojtek niecierpliwie czekać półtora dnia na gospodarza, napół głodny.

Pruszcycowi gość był nie na rękę, aby mu jego gry całej nie podpatrzył, ale w końcu przekonawszy się, że on sam ani z Nitosławskimi, ani z O. Leoncyuszem nic nie robi, zdecydował się za pewnem wynagrodzeniem Wierzbęcie wskazać, gdzie się miał udać i wesprzeć go radą.

Wojtek po niewielkim namyśle postąpił sobie heroicznie: pojechał do księdza, z którym się rozmówił z otwartością i szczerością, uczciwego człowieka. Znalazł go tak usposobionym, że tu już najmniejszej trudności nie było — dokumenta już miał w rękę, a duchowny nawet nic znaczącego podarku przyjął się wzbraniał.

To była dopiero połowa dzieła, bo Nitosławscy, rozporządzający tu środkami i stosunkami potężnymi, mogli obalić łatwo wszystko.

Wierzbęta, który ich dawniej poznał na polowaniu u starego Pruszczyca, wprost pojechał do nich z postanowieniem rozmówienia się otwarcie. Samego p. Waclawa zastał w domu, który go przyjął z tą gościnnością staropolską, jakiej u nas mało kto się wyrzekł dla nowszego obyczaju. Wierzbęta tłumaczył swe przybycie interessami, które go w te strony sprowadziły.

Zaproszono go na obiad; p. Waclaw kazał pokazywać konie swoje, oprowadzał po stajniach, chwalił się psami; rozmowa o wszelakim sporcie zajęła czasu dużo, aż pod wieczór.

Zagać rozmowę o tem, co było istotnym celem podróży, nie łatwo potrafił Wierzbęta.

Potrzebował całej swej odwagi, czerpanej w uczuciu przyjacielskim dla Sylwana, aby mógł naostatek przystąpić do opowiadania.

Począł je od opisu swej podróży z Sylwanem i zawiązania z nim braterskiego stosunku; — opowiedział potem o bytności Pruszczyca otwarcie, o tropie, po jakim wpadł na ślad dokumentów,

o ich odzyskaniu — i, zdumionemu aż do osłupienia p. Waławowi, rzucił otwarcie to pytanie:

— Będziecie panowie, czy nie, stawać przeciwko rehabilitacji człowieka, który się nie domaga oprócz nazwiska, do jakiego ma prawo? Wypożyczenie dostatecznie, wiem, że do majątku rościć nie będzie najmniejszych pretensyj.

Rozporządzacie panowie takimi środkami, iż do walki z wami, ani on, ani ja dla niego, wystąpić przeciw wam nie mogę. Otwarcie więc powiadam: zrzeczenie się wszystkiego, jeżeli dobić się będzie potrzeba prawem.

— P. Waław długo stał zamyślony i milczący — błąd i jakby w walce z samym sobą.

— Słuchaj pan — rzekł — wiesz, że ten nikczemny Pruszczyk już nam sprzedaż dokumentów proponował. Odrzuciliśmy ją z pogardą. O sprawie tej wie on, wiesz pan, wiedzieć będzie wielu — i nieznając okoliczności — sądzić nas zechcą. Ja i brat mój — myślimy, że postąpić najuczciwiej — gdy oporu stawiać nie będziemy.

Wolimy mieć przyrodniego brata — niż na pamięci naszej plamę jakąś — postępkę, któryby nam uwłaczał.

Jeżeli dokumenta dowiodą małżeństwa ojca, urodzenia syna — niech Horpiński nazwie się sobie Nitosławskim. To nas do niczego nie obowiązuje. Co do majątku, sami mówicie, że się uznaje wyposażonym.

— Do majątku nie ma prawa i zrzecze się go — potwierdził Wierzbęta.

— Żeby mi to miało być bardzo przyjemnym — dodał powoli Waław, wydymając usta — tego nie powiem. Horpiński ma być bardzo uczciwym człowiekiem, ale jest dziwakiem — a wychowanie uczyniło go nam obcym. Wznowienie tej historii zapomnianej miłem nam nie będzie.

— Ale ona wam cześć największą przynosi — zawołał Wojtek, który się tak szczęśliwego rozwiązania nie spodziewał.

Nitosławski spuścił głowę.

— Nie wystąpić przeciwko prawom p. Horpińskiego — dodał — ale też pomagać mu do uznania ich nie czujemy się w obowiązku — już dlatego, że wola ojca naszego była inną.

— Zmuszono go — rzekł Wierzbęta.

— Nie wchodzi w to — odparł Nitosławski — widzę tylko, że w końcu, z własnej woli, czy ulegając rodzinie, nieboszczyk ojciec chciał go mieć p. Horpińskim.

Wierzbęta nie nalegał już, dziękował tylko. Przyznał się wreszcie, iż tu nie szło jedynie o ocalenie Horpińskiego, który zasługiwał na współczucie, ale i o szczęście p. Michaliny.

O tej p. Waław, odrzucony przez nią, nie mówił nic: wysłuchał zwierzenia się i milczał.

Zapewniwszy się, że dochodzenie prawne nazwiska nie dozna żadnej przeszkody ze strony rodziny Nitosławskich, Wierzbęta, wyraziwszy całą swą dla nich wdzięczność, natychmiast wyjechał, aby dalsze rozpoczęcie starania, a nade wszystko oznajmieć p. Michalinie, że powinna była zwlec nieodzownie małżeństwo z baronem.

— „Niemogę nic więcej pani powiedzieć dla poparcia mojej prośby nad to, że wkrótce pewno przyjaciel mój Sylwan będzie się tak mógł wywieść ze swą genealogią, iż ci, co go nie znajdowali godnym pokuszenia się o związek z rodziną twą, przyjmą go z ochotą. Horpiński zmieni tymczasowe nazwisko i mieć będzie prawo używać tego które już było raz... przyjęte...”

„Brzmi to zagadkowo, dziwnie, ale nie w samych romansach trafiają się tajemnice i odkrycia cudowne. Zaklinam panią: do mojego powrotu nic nie postanawiać — niczem się nie wiązać. — Do Sylwana wyprawiam listy, aby jaknajprędzej powracał... Ja sam przybędę w ślad za tym listem“.

Działo się to na Ukrainie, gdy w Zaborowie biedna pani Zawierska, zmęczona wypadkami lat ostatnich, słaba, ciągle dręczona niepokojem o los córki, to się dźwigając, to kładąc do łóżka, walczyła tak długo, aż w końcu zachorowała niebezpiecznie.

Choroba w początkach nie miała w sobie nic tak bardzo groźnego; doktor miał ją za dalszy ciąg już od roku objawiających się symptomatów, ale w przeciągu kilkunastu dni przybrała chara-

cter niespodzianie zastraszający. Fiziognomia Zawierskiej sama już najmniej badawczemu oku wskazywała, że organizm cierpiał i był podkopanym. Wyraz twarzy się zmienił, głos osłabł.

Sama ona, czując ten stan, strwożyła się niewypowiedzianie, a tworga jest sprzymierzeńcem każdej choroby najdzielniejszym. Uspokoić matkę mogła tylko Misia. Ona sama jej to wyznała.

— Chcesz mnie widzieć spokojną — odezwała się do córki — posłuchaj, dopóki żyję: oddaj rękę Fredziowi. Albo uzdrowię lub umrę spokojna, osłodziś mi godziny ostatnie, Misiu moja.

W miarę jak stan zdrowia się pogorszał, nalegania te zaczęły być coraz napastliwszymi. Zawierska całowała córkę po rękach, płakała, zaklinała, prosiła. Misia dała jej słowo — ale to nie starczyło. Zawierska kazała jej napisać do barona i wezwać go, aby z powodu jej choroby — ślub przysięszył.

Wprzód nim list od Wojtka doszedł do p. Michaliny — dziewczę, zwątpiwszy o wszystkim, widząc matkę bez nadziei życia — nie mogło się oprzeć jej ostatniemu życzeniu.

Baron z synem, z papierami, z indultem, przybiegł piorunem do Zaborowa, i w pokoju chorej, przy domownikach za świadków wezwanych, bez ceremonii i obrzędów żadnych, odbył się ten ślub smutny, cichy, który zamiast kadzideł obwiewała woń lekarstw, jakimi w chwilach ostatnich życie starają się utrzymać lekarze.

Misia płakała. Obrzęd był podobniejszy do pogrzebu niż do wesela, a wieczorem Zawierska, która zasnęła zaraz po ślubie, obudziła się tylko, aby zażądać księdza i gromnicy — ostatkiem głosu. I w parę godzin potem para nowożeńców klęczała u martwych zwłok matki, której wypożądzone śmiercią oblicze, świadczyło, iż skończyła spokojnie, błogosławiąc dziecięciu.

W parę dni potem Wierzbęta powracał z Ukrainy, a Terenia witała go w ganku czule, ale nadąsana.

— Widzisz! widzisz! — mruzczała — włóczysz się po świecie, mnie neglizujesz, ale ja do tego powinnam być nawykła, a nawet swoje kochane Zawierskie porzuciłeś w takiej chwili!

— W jakiej chwili! — zawołał przestraszony Wierzbęta.

— Przecież po drodze musiałeś słyszeć — dodała żona wpatrując się w niego... (spieszył się tak do domu, iż po drodze wcale nic nie słyszał) — stara Zawierska zachorowała i — umarła, a córkę, mogę powiedzieć — przymusiła do wyjścia za męża za barona. Ślub o kilka godzin śmierć jej poprzedził.

Wojtek jak stał przed żoną, tak się zachwiał nagle i aż o śłup oprzeć musiał, aby nie paść.

— Wszystko więc przepadło! — jęknął.

Emilka mu się wieszała na szyi i poczuwszy łyzy na twarzy ojca, sama się o mało nie rozplakała.

Listy z Włoch szły swoim porządkiem, ale Wierzbęta nie miał odwagi ich czytać. Czuł, że wysyłając do Włoch Sylwana, stał się może przyczyną całego tego nieszczęścia.

Horpiński pisał z Florencji:

„Stałem tu, na pamiątkę naszej pierwszej bytności w małym hoteliku „Washington“ na Lung'Arno, gdzieśmy tak wesołych kilka tygodni przeżyli. Zdaje mi się trochę więcej wyelegantowanym niż był, ale nic a nic nie lepszym.

„Florencja zmieniła się bardzo; podobną jest teraz do wielkiej sali balowej, przygotowanej na przyjęcie gości tłumnych, którzy na ucztę nie przybyli.

„Miasto zadłużyło się po uszy, aby być godnym zostać Włoch stolicą. Zaszczytu tego dostąpiło na czas krótki — wołano o Rzym — *Roma capitale!* i wołano tak natarczywie a głośno, że mimowoli i przekonania Wiktor Emmanuel uleż musiał. Zamiast mieć Rzym stolicą całego katolickiego świata, Włosi zażądali go dla siebie.

„Florencja padła ofiarą.

„Wyobraź sobie to nagle, gorączkowo rozrosło miasto, pomnożoną ludność, całe życie zjednoczonych prowincji, zbiegające się tutaj na lat kilka, a potem nagle wszystko to wędrujące do Rzymu,

zostawiające za sobą mury puste, drogi trawą zarastające, ulice nowe bez mieszkańców i tysiące ruin, poczynając od zadłużonego i zawiedzionego municypum, które padło ofiarą. Skłaniasz głowę przed patryotyzmem Włochów, którzy nawet synkając z bólu nie śmieli tu, we Florencji — gdy Rzym odebrał im wszystko.

„A że Roma oprócz tego miała potężny urok pociągający ku sobie — cóż dziwnego, iż teraz, wzmógłszy się, Florencji część jej artystycznego znaczenia nawet odbierze? I tysiące cudzoziemców, którzy tu mieszkali, pociągną do Rzymu, choć tam nie znajdują ani Pittich, ani wielkiej galeryi.

„Pamiętasz od wieków niedokończoną facyatę wielkiego kościoła Najświętszej Panny dei Fiori? Zebrano się na wykończenie jej teraz. Dotąd razi jakąś dysharmonią barw i stylu, choć go się starano naśladować.

„Nowym jest wielki posąg Dantego, przed kościołem Santa-Croce, a za miastem, na górze, za San-Miniato, wśród gościńca, pomnik Michała Anioła.

„Wszystko to, wśród pustych przestrzeni — na bezludziu — zdaje się spać, drzemać, zamierać. A żeby się stać ruiną, miasto nie potrzebuje się rozpaść w gruzy, może być nowem, jak z igły: gdy mu zabraknie człowieka, zabraknie życia.

„Taką jest dziś Florencja.

„Na Cascinach — drzewa podrosły i te niepocziwe bluszcze, co je w swych uściskach duszą, nie przestały okrywać zielonością uśmiechniętą — dzieła zniszczenia.

„Te włoskie bluszcze! — przypominają ludzi. Spojrzawszy zimą na drzewo ustrojone w ciemnozieloną szatę od dołu do góry, rozczulasz się nad tą pocziwością rośliny, która otula i ogrzewa pień swego dobroczyńcy, ale — odśłoń liście. Pod niemi grube, jak powrozy splecione gałęzie, opasują pień i duszą go powoli, soki wypijając z niego.

„Walka o byt! nic więcej!

„Na samym końcu Cascin pomnik jakiegoś Indyanina, którego tu spalono i pogrzebiono.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korespondencya zagraniczna.

Poznań w Sierpniu 1884 r.

Cisza letnia utrudnia zadanie kronikarza, który skazanym się widzi, bodaj jak pająk, na snucie z siebie samego wążka korespondencyj zamiast, coby jej gotową już treść wokoło siebie znajdował. Milknie ruch umysłowy i społeczny, istne gminoruchy wywodzą mieszkańców stolicy w góry szląskie lub na wybrzeża Bałtyku, za ledwie odgłosy rolnicze przerywają raz po raz głuchą ciszę. Wbrew pesymistycznym rokowaniom nawalnic pędzących jednym szlakiem, suszy, które nawiedzać miały, przeciwnie, inne dzielnicy naszej strony, dokończone już niemal żniwa tegoroczne najpiękniejsze wydały plony; urodzaj prawie ogólny cieszy ziemian naszych uwieńczeniem sumiennej a umiejętnej ich pracy. Wszelako widmo współzawodnictwa amerykańskiego nie ustępuje, nie znika, i daremnie woła nań rolnik: „a kysz! a kysz!“ I cóż, że kłosa uginają się pod ciężarem pełnego, obfitego ziarna, że stodoły skrzypią od ciężaru naładowanego zboża? Obniżone wskutek amerykańskiej taniości ceny nie pokrywają już prawie kosztów produkcji, a zwłaszcza nie dorównują nakładom natężonego gospodarstwa. Liczono na złotodajną pomoc cukrowni — aby wyrównać poniesione na ogólnem polu rolnictwa szkody. Odrazu wystrzelili mnożąc wysokie kominy i gmachy fabryczne na równinach wielkopolskich. Obecnie, tak w Prusach Zachodnich, jak w Księstwie Poznańskim znajduje się po trzydziście cukrowni, razem 26, do których niebawem trzy przybędą — najznaczniejsza, w Zajezierzu

nad Gopłem, pamiętna dywidendami pierwszych lat swego istnienia, które dawały niemal sto za sto! Same cukrownie księstwa przerobiły w ostatnim roku około 9 milionów centnarów buraków zebranych na 84,450 morgach ziemi. Cóż, kiedy przemysł ten mimo początkowej świetności ostatecznie nie daje zysków wyrównujących bilans rolny; przyszedł bowiem za późno, wzbogaciwszy poprzednio Saxonią i inne kraje Niemiec! U nas ruch ten spekulacyjny dopiero w ostatnim lat dziesiątku się pojawił, krótko przed nastaniem ciężkich czasów dla tej gałęzi przemysłu. Pokazało się iż Niemcy superprodukcją cukru zabiły przyszłość cukrownictwa. Obecnie produkuje się w Niemczech do 20 milionów centnarów cukru, z których tylko siedm cały obszar Cesarstwa Niemieckiego zaledwie spożyć zdoła. Reszta idzie zagranicę, rozbijając się o tysiączne zapory i utrudnienia handlowe. Skutkiem tego cukier spadł w cenie, cukrownie zaś, albo bankrutują, albo zmniejszają ugodzoną z rolnikami cenę buraków; jeżeli zatem nie upadnie przedsiębiorstwo przemysłowe, to zruinuje się niezawodnie dostawca buraków, rolnik: niema innej drogi wyjścia. I oto, po kilku zaledwie latach choroby—cukrowniczej gorączki buraczanej, zewsząd podnoszą się już głosy, aby zarzucić jałowy, acz słodki, przemysł, i przenieść się do uprawiania innych roślin handlowych, mianowicie tytoniu, cykoryi i t. p. Nagle te przemiany w prądach rolniczych, naprężenie stosunków, wyteżenie sił materialnych i moralnych—wszystko to razem wzięte składa się na obraz wcale nie wesołej rzeczywistości, w której nie dziw, że mniej silni i mniej obrotni giną niepowrotnie.

W tej walce o byt i uganianiu się za chlebem powszednim niema prawie wolnej chwili, aby zwrócić się ku spokojniejszym zabawom umysłu lub poświęcić się wymaganiom obywatelskiej polityki. Ubywa wciąż ochotników do życia parlamentarnego i reprezentacji sejmowej. Daremność usiłowań przejmując też zniechęceniem wielu zapalonych zrazu szermierzy i obrońców tak trudnego posterunku. Zbliża się obecnie chwila nowych wyborów do parlamentu Rzeszy Niemieckiej, a konieczność ruchu i zakrzętnięcia się szczerego a rozumnego około kandydatur polskich jest tem większą, że znaczna liczba dotychczasowych posłów postanowiła nadal mandatów nie przyjmować. W pierwszej chwili zrodziła się obawa: azali znajdują się łatwo zastępcy i następcy po schodzących z trudnego stanowiska. Darma ogólne życzenie pragnęło ujrzeć na czele naszej reprezentacji wytrawnych z dawniejszych lat zapasników: x. biskupa Janiszewskiego i Augusta Cieszkowskiego. Znużeni próbami życia, zaprzętnieni lat starszych pracami, nie chcieli już odbiedz pióra ani zamąć myśli wstępowaniem ponownem w szranki walk politycznych, tak ciężkich do prowadzenia z Niemcami. Młode tedy siły zmuszone będą dźwigać cały ciężar znojów i upałów zapasów parlamentarnych. Zewsząd podnoszą nowe kandydatury, często dziedzictwem utrwalające w drugim pokoleniu ojców tradycją i zasługami. Wspomnijmy p. Stefana Cegielskiego, głowę polskiego przemysłu w Poznaniu, właściciela tyle cenionej fabryki narzędzi rolniczych, której ś. p. Hipolit Cegielski zapewnił europejski rozgłos, godząc obywatelską czynność z zamiłowaniem Muz i handlową obrotnością. Dalej wymienić należy księcia Zdzisława Czartoryskiego, poczuwającego się do wszystkich zobowiązań rodowej tradycji i pięknego nazwiska, a dającego ręką politycznego rozumu i energii. Młody książę znajduje gotowe dla siebie w naszej społeczności miejsce opróżnione przesiedleniem się do Galicji starszego jego brata, księcia Romana, niezastąpionego męża w każdej publicznej robocie, do której wnosił harmonią swego pojedynczego usposobienia i wysokich zdolności. Dalej słyszymy o kandydaturach ks. Ludwika Mycielskiego, barona Ludwika Graeego, p. Stefana Łąckiego i t. d. Niema więc obawy, aby ławki polskie w parlamencie niemieckim opustoszyć miały.

Widmo cholery i u nas wstrząsnęło strachem wszystkie warstwy ludności — zwłaszcza, że dotychczas Poznań stale znajdował się na drodze każdej, czy-to ze Wschodu, czy Zachodu idącej,

zarazy. Mór upodobał sobie ten szlak widocznie, bo nigdy nie omijał Przemysławowej stolicy. Ostatni raz cholera nawiedziła miasto nasze w 1866 r. Rozniosły ją ruchy armii podczas tak zwanej siedmio-dniowej wojny z Austrią i po tej wojnie poświęcenie osobiste arcybiskupa poznańskiego, dzisiejszego kardynała Ledóchowskiego, szczególnym blaskiem cnoty opromieniło owe ciemne dni zarazy. Sam obiegał on najmniejsze przytułki i poddasza, wzbudzając otuchę i krzepiąc mężstwo całej ludności, a obfitemi jałmużnami i organizacją posługi w szpitalach, ratując nieszczęśliwych. W tej chwili niebezpieczeństwo wydaje się już zażegnanem, a przynajmniej wstrzymanem. w pochodzie na Wschód i Północ. Największe uznanie należy się władzom municypalnym naszego miasta. Na pierwszą wieść o pojawieniu się cholery przedsięwzięto wszelkie środki higieniczne w takich razach konieczne, zarządzo no przymusową dezynfekcją, oplukiwaniem rynszteków, ścisłe pilnowanie porządku publicznego. Bezpośrednim skutkiem owych rozkazów jest podwojenie schłodności, oddawna słynącego nadzwyczajną czystością Poznania, co, oczywiście, wpły nie korzystnie na warunki higieniczne miasta, zacieśnionego wałami i murami fortecznymi.

O kongresie antropologicznym wrocławskim niewiele da się powiedzieć. Germańska buta przodowała tu uczonym posiedzeniom pod hasłem, że cały obszar ziemi był lub być musi niemieckim. *Great attraction* zebrania stanowiła obecność Schliemanna i jego zdanie sprawy z odkryć poczynionych w Tirynsie, tem ciekawszych, iż sprawdzają one wszystkie trojańskie poszukiwania, zdobycze i wnioski. Polscy uczeni przyjęli w wiecu udział dość szczupły. Zaznaczyć wypada jako głównego uczestnika z naszej strony p. Kazimierza Szulca z Poznania, który wykazywał na podstawie wykopalisk, że Słowianie byli pierwszymi mieszkańcami obszarów między Elbą i Wisłą, a Germanie stanowią ludność najezdniczą i napływową. Kongres miał się pierwsiastkowo odbyć w Krakowie, ale to zawiodło skutkiem pewnego nieporozumienia, zaszłego podczas przedwstępnych rokowań, z wielką szkodą dla miasta i naukowości polskiej.

Z nowszych książek niewiele plonu letnia przynosić zwykła pora. *Opowiadania i studia historyczne* Kazimierza Jarochońskiego od wiosny pozostały najponętniejszą nowością. Z dziedziny poezyi wspomnijmy nieudolne ramoty, któremi p. Dobrogost Nałęcz narzuca się uwadze publicznej. Wyszły w osobnej książce odczyty posła dra Witolda Skarżyńskiego, składające się w całość różnorodną, tak ekonomiczną, jak i lżejszą treści. Wydawnictwo gnieźnieńskie t. zw. „Straży Ś-go Wojciecha“ upowszechnia nowym i tanim przedrukiem *Żywot Pana Jezusa* Baltazara Opecia, według edycji Hallerowskiej z 1522 r.—Odrazu pojawiły się dwa wydania tego pomnikowego dzieła: jedno naukowe, drugie ludowe. Obecnie ruch piśmienniczy ogranicza się przeważnie na czasopismach, nie wydając z siebie stalowego owocu.

Mieliśmy w ubiegłej już części lata częste nawałnice. Zewsząd dochodziły smutne wieści o porażeniach i pożarach przez pioruny wzniesanych. W ten sposób zgorzał i stary, bo już czterysta lat istnienia liczący kościółek parafialny w Gryźynie. Miejscowy pleban odrazu wszelkich jał dokładać starań, aby zniszczoną ogniem świątynię odbudować z gruzów, a mnożąc środki przysporzenia funduszów, wpadł na szczęśliwy pomysł, który zapewne w całym kraju znajdzie poklask i gotowe poparcie; przedrukował bowiem ozdobił znaną balladę Morawskiego o „Brzozie Gryźnińskiej, a z samego drzewa uschłej przed kilkoma laty brzozy rozkazał sporządzić odpowiednią ilość pamiątkowych krzyżyków, utrwalających po domach polskich pamięć legendy, tak wdzięcznym wyśpiewanej wierszem.

Do legendy też niemal podobnym jest opis wybawienia 43 górników, żywcem pogrzebanych w szybie *Deutschlandsgrube*, w Świętochłowicach na Szlązku. Czasopisma nasze dotąd brzmiały szczegółami niebywałej katastrofy i cudownego ocalenia tylu nieszczęśliwych, których po całotygodniowym pobycie w żywym grobie odnaleziono

wszystkich bez szwanku, aczkolwiek bardzo już osłabionych. Powodem wypadku było przewrwanie stawu przesyconego ustawicznymi deszczami, który zarwał się nagle, i w części zalał kopalnię, przecinając górnikom wszelkie drogi odwrotu. Brnąc w szlamie po pas i wyżej, dotarli oni wreszcie do względnie bezpiecznego miejsca. Cwierć funta chleba: oto jedyny zapas, jaki przy sobie mieli. Katastrofa wydarzyła się w Piątek 20 czerwca, lampy górników starczyły im zaledwie do Niedzieli wieczorem. Widząc nadchodzące ciemności spisali oni jeszcze ostatnią swą wolę i pożegnanie, na rachunkowym papierze dozorecy, z tym znaczącym napisem: „*List nas wszystkich męczenników*“. Cały piękny charakter wieśniaka polskiego wyłania się z tej kartki o tak tragicznym znaczeniu. Tyle miłości rodzinnej, uczuć pobożnych, żalu najbardziej, iż im przyjdzie umierać bez ŚŚ Sakramentów! Nie darmo Skarga nasz mówił, że wśród tych, co z pola swego chleb jedzą, niemało jest dusz czystych jak złoto! Z wieczorem niedzielnym zgasł ostatni kaganiec rozjaśniający ciemnicę kopalni, a dopiero w następnym Piątek z rana wybawiono nieszczęśliwych! Wśród wszystkich cierpień, jakich doznali „od strachu, głodu i udręczenia“, jak sami mówią, najgorzej im dokuczało zimno; skuleni, ogrzewali się wzajemnie ciepłem własnych ciał, żywili wodą z mulem; próbowali gryźć węgiel. Zgęszczone powietrze, do tego stopnia, iż lampy śpieszących z ratunkiem palić się nie chciały, nowych przydawało katuszy biednym ofiarom. Lekarze spodziewali się u ocalonych tyfusu, zapalenia mózgu; tymczasem stwierdzili tylko wielkie osłabienie, a dłuższy pobyt w szpitalu i dobre pożywienie rychło wróciły im siły i zdrowie. Modlitwa pokrzepiała ich w godzinach próby, modlitwa dziękczynna z wdzięcznych serc podniosła się ku sklepieniom niebios. Gdy ostatniego z zagrzebauych wyniesiono z łona ziemi, tysiące zgromadzonego u wejścia do kopalni ludu zanuciło pełnymi piersiami pieśń: *Kto się w opiekę*.

Wpśród licznych hołdów złożonych Kochanowskiemu w tym roku jubileuszowym, zaiste, nie było rzewniejszego nad ten hymn jego lutnią wyśpiewany, zanoszący pod stopy tronu Miłosierdzia Bożego wyraz wdzięczności górnoszlązkiego ludu! Bliższe szczegóły i wiadomości o tym wypadku podają najszerzej czasopisma górno—szlązkie, podaje one opisy z ust samych ofiar katastrofy zacerpnięte. Cała okolica Świętochłowicy żywo dotąd jest poruszona tą przygodą, a wdzięczność górników zamierza utrwalić się ofiarą dwóch kolorowych okien do parafialnego kościoła. Zewnątrz słyhać też wielkie pochwały dla organizatorów ratunku, a mianowicie dla hr. Henckel-Neudeck, który osobiście na miejscu nieszczęścia pobudzał do śpiesznego niesienia pomocy, kierując wszystkimi potrzebnymi do tego czynnościami. Oddając sprawiedliwość zabiegom, tak po myślnym uwieńczonym skutkiem, górnicy utrzymują jednak, iż kopalnie wadliwie są urządzone, głównie z tego względu, iż otwory do wyjścia są bardzo rzadkie, co w razie podziemnej katastrofy utrudnia i ucieczkę i ocalenie.

ZA OCEANEM

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Brazylii.

przez

HELENĘ NEGRON.

(Dokończanie).

V. Boże Narodzenie. — Wycieczka w głąb' kraju. Wyjazd z Bahii.

Nadszedł nakoniec dzień oswobodzenia naszego, dzień tak gorąco oczekiwany, lecz burza jesz-

cze miotała powierzchnią oceanu z tą samą gwałtownością, i chociaż tylko pięć kwadransy drogi oddzielało nas od Montevideo, podróż była zbyt niebezpieczną, ażeby na nią odważyć się było można, a przedłużenie, choćby kilkogodzinne, pobytu w lazarecie znacząco rozpoczęło kwarantannę nanowo na dni czternaście: takie są miejscowe przepisy. Jechać więc—było to narazić się na niechybne niebezpieczeństwo; nie mniejszem, z drugiej strony, było pozostanie dłuższe z choremi dziećmi w lazarecie. Po całodziennym oczekiwaniu wiatr około drugiej z południa ustał, niebo się wypogodziło, czempredziej przygotowano statki—i wszyscy w mgnieniu oka znaleźli się na nim. Nie tracąc chwili, odbito od brzegu, lecz nie byliśmy dziesięciu minut na morzu, gdy burza z większą jeszcze gwałtownością się rozhułała, miotając nami nielitościwie. Przez pięć godzin byliśmy między życiem a śmiercią; każdy bałwan, piętrzący się jak góra, mógł nas na dno morza z całym statkiem rzucić, lub o skały rozbić; port mieliśmy tuż przed sobą, a dostać się do niego było niepodobniństwem. Cośmy przez te kilka godzin przeżyli—nigdy nie zapomnę.

Nakoniec, znużeni cierpieniem, straciliśmy przytomność; tyle nam jej tylko pozostało, ażeby dzieci leżące obok nas na ziemi, jakotako zabezpieczyć. Wieczorem dopiero, posiadmej, wiatr ucichł i mogliśmy wjechać do portu. Zawieziono nas do hotelu nawpół nieżywych, gdzie od miesiąca siebie i dzieci pielęgnujemy, nie mogąc wrócić do zdrowia po owym pobycie w lazarecie. Bogu może dziękować ten, kto się cały z niego wydobędzie.

VI. Montevideo i Rzeczpospolita Urugwajska.

Mieszkamy w hotelu „Oriental“ na jednej z głównych ulic Montevideo. Zdaje nam się, jak gdybyśmy się do raju dostali, po doznanych niewygodach w lazarecie. Wprawdzie „Hotel Oriental“ i dla najwybredniejszych Europejczyków nie nie pozostawia do życzenia: stół wysmienity, usługa doskonała, pokoje wygodne, balkon, otaczający nazewnątrz i wewnątrz dom dokoła, daje nam sposobność spędzania całych dni na świeżym powietrzu; bawimy się ze słońcem w chowanego, kryjąc się ciągle przed niem, w miarę jak nas ściga. Balkon ten dozwala mi być dla innych niewidzialną, a przytem śledzić ruch na ulicy i przypatrywać się zewnętrznemu życiu miasta.

Kto chce mieć wyobrażenie o Montevideo, niech myślał cofnie się o dwa wieki w tył i przedstawi sobie ulice Hiszpanii, tak, jak one były w owych czasach. Po ulicach krąży pełno typów z „Don Kiszota“ i „Cyrulika Sewilskiego“; zręczne uwijają się Rozzyny, w mantylach zarzuconych na czarnych jak kruk włosach, w obcisłych aksamitnych staniczkach z baskinami, w różowych spódniczkach atlasowych z czarnymi koronkowymi falbanami, w trzewiczkach o wysokich obcasach, z tradycyjnym wachlarzem i z również tradycyjną grą oczów błyszczących zpoza niego. Nie brak i Bartolów w aksamitnych spencerach, z cekinami, ponsowemi pasami połyskującymi od złota, w fałdach których kryją się sztylety.

Niestety, nie tylko w formie odzieży jest stagnacja kompletna: zdaje się, że i umysł poczciwych Urugwajców zasnął od wieków i nie może dotąd z pleśni się otrząsnąć, a jeżeli czasem naprzód poskoczy, to musi skok zrobić tak ogromny, że traci równowagę.

Montevideo jest stolicą Rzeczypospolitej Urugwajskiej, która wybiła się na wolność zpod panowania Hiszpanii z początkiem naszego wieku,

razem z innymi stanami Południowej Ameryki. Dotąd ta rzeczpospolita nie wie co zrobić ze swoją wolnością; od owej epoki stała się pastwą wojen domowych i ciągłych utarczek rozdrobnionych partyi i facyi, które marnują swe siły i byt cały na sporach i politykowaniu wewnętrznym.

Stan ten, nienaturalny, trwający od początku wieku, oddaje w ręce pierwszego lepszego awanturnika, mającego trochę przebiegłości i odwagi, los całego kraju, zabija w nim przemysł i handel, któryby inaczej mógł, dla wielu sprzyjających okoliczności, tu się skoncentrować i zrobić z portu Montevideo—port centralny, handlowy dla całej Południowej Ameryki, panią wszechwładną Oceanu Atlantyckiego, tak jak niegdyś, za średnio-wiecznych czasów, były Genua i Wenecya.

Prowadząc spostrzeżenia moje z balkonu, szczególnie w godzinach rannych, widziałam, że ruch handlowy panuje tu ogromny, z portu i do niego ciągle mijają się ciężko naładowane wozy. Tak, jak w Brazylii, i tu (prócz żywności), wszystko jest sprowadzane z Europy a dużo materiałów surowych ztąd się do niej wyprowadza.

Większe tylko ciężary wywozi się na kołach; inne wszystkie mniejsze kupna bywają przesyłane przez konnych posłańców, których ubiory są tak fantastyczne, jak jest mało fantastyczny ich umysł. Widzę Sancho-Pancha jadącego na nędznej szkapie; nie jest on tak zupełnie opasły i promieniejący, jak autentyczny sługa Don Kiszota, ale zdrowie tryska z jego cery; zadowolony widać z losu, braku widocznie nigdy nie doznał. Wiezie bułki do miasta: oczywiście, posługacz piekarski. Dziwne są kosze, w których ten atom ludzkości towar swój przewozi—nie wiadomo z czego zrobione.

W ślad za nim zdąża kilku innych Sancho-Pansów: mają obok siebie, z dwóch stron, muła przewieszzone ogromne worki, wypełnione mlekiem, winem i oliwą. Powiadają mi, że owe worki, również jak i kosze, są ze skóry, bo ta tutaj prawie nie kosztuje i w braku drzewa do rozmaitych potrzeb bywa używaną.

Dowiaduję się także, że Urugwaj jest ojczyzną rozpowszechnionych na całym świecie mięsnych ekstraktów Liebiga. Niedaleko, we Fray-Bentos, założono fabrykę ogromną, która do tysiąca wołów dziennie dla siebie potrzebuje. Mięso bywa wygotowywane na ekstrakt, kości używają jako materiału opałowego, a skórą, których sprzedać nie można, nadają wszelkie możliwe użytki. Łatwo osądzić, jak kraj ten musi być zasobnym, jak bujną musi mieć vegetacją, jeżeli może bez uprawy roli (bo tem nikt się tu nie zajmuje) tyle bydlę wyżywić.

Szczegółów tych udzielił mi doktor Pinelli, który z żoną, wykształconą Angielką, często u nas przebywa. Jest on oddawna tu osiedlony i uważany za najpierwszego lekarza w kraju, wszędzie bywa i jeździ, kraj cały nawskróś zna najdokładniej. Od niego dowiaduję się, że Rzeczpospolita Urugwaju przechodzi obecnie przez coroczne gorączkowe przesilenie; co rok obierają tu nowego prezydenta i wszystkie stronnictwa mają się na baczności, sądząc, że swego kandydata zdołają na wierzch wydzwignąć.

Z balkonu widzę ruch nadzwyczajny, ludzie się gromadzą, naradzają; ciągle jakiś nowy Don Kiszot, otoczony garstką ludzi, zagadkowej postaci, przez ulicę defiluje. Są to ex-prezydenci, którzy, albo sami mają nadzieję być wybranymi, albo też, niezupełnie dowierając pozostawionemu po sobie wrażeniu na opinii publicznej, popierają swojego kandydata, który za pomoc udzieloną pozwoli potem protektorowi czerpać swobodnie przez rok cały w kassach państwa.

Otoż i wojsko zaczyna już krążyć po ulicach i zajmować place, a biedny cudzoziemiec mocno zaniepokojony jest tym widokiem, bo wie, że przez kilka tygodni nie zarobi i że handel, który zupełnie jest w jego ręku, ustanie: a dla niego to ruina. Zabawne jest owo wojsko, tak wspaniale zdaleka połyskujące od złota i orderów. Na ubranie ścisłych nie mają przepisów; każdy officer, stosownie do swojego mienia, piersi obwiesza galonami haftem złotym; ale przy zbliżeniu dziwnie wydają się obok nich szeregowcy z wydartemi łokciami i często bosemi nogami. Zdarza się nieraz widzieć officera wyższej rangi, o cerze miedzianej lub przykopcanej: taki to już z pewnością będzie się starał nieskończoną ilością galonów złotych tak olśnić widzów, ażeby o cerze jego zapomniano. Głównym żywiołem składającym tu tejsze wojsko jest przestępca kryminalny, Europejczyk kryjący się przed wymiarem sprawiedliwości, Mulat i Murzyn. Żołnierze, rzadko kiedy płatni, są więcej postrachem i narzędziem niebezpiecznym w ręku ludzi niesumiennych, niż obrońcami bezpieczeństwa i spokoju; opinia ta, ogólnie rozpowszechniona, czyni karierę wojskową zupełnie niemożliwą dla ludzi honorowych. Wojsko urugwajskie jest stekiem wszystkich zropaczonych awanturników.

Wróćmy do Montevideo. Domy tutejsze mają płaskie dachy, stanowiące wygodną płaszczyznę, rodzaj salonu, gdzie wszyscy po zachodzie słońca się zbierają. Z wierzchu naszego domu widzę dokładnie całe miasto, przystań i rzekę La Plata, łączącą się z Oceanem—mówię: „łączącą się“, bo koryto jej jest tak szerokie przy ujściu, że wcale dojrzeć nie można gdzie wpada do morza. Montevideo leży nad samem ujściem rzeki.

Wszystkie okręty jadące z Europy, z północnej i z południowej Ameryki na Ocean Spokojny i do stanów La Plata, muszą się tu zatrzymywać, ruch też w porcie jest nadzwyczajny i nieustanny, nie ma dnia, ażeby kilka okrętów nie przybiło.

Montevideo jest punktem bardzo ważnym. Handlowe narody Europy patrzą nań okiem pożądliwym, a sąsiedzi z Ameryki Południowej ostrzą sobie zęby na tę upragnioną zdobycz. Jeżeli dotąd Rzeczpospolita Urugwaju, ze stolicą i portem swoim, pozostała niepodległą, to tylko dlatego, że tak smacznego kąska wszyscy sobie zazdroszczą. Montevideo jest w takim samym położeniu, jak zbyt okrzyczana piękność, o którą nikt oświadczyć się nie ośmiela z obawy innych współzawodników. Szkoda wielka, bo jakakolwiek administracja zrobiłaby odrazu z niego jeden z pierwszych portów na świecie; gdy tymczasem dziś jest to mało znaczące miasto, ginące zupełnie w cieniu Buenos-Ayres, które rzeczywiście nie posiada nawet połowy tej dogodności położenia naturalnego.

W obecnej chwili całe Montevideo jest w ruchu. Obrano już prezydenta, ale obawiają się oporu pół tuzina ex-prezydentów i walki na ulicach.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Sąd Boży**; oraz arkuszy 1-szy powieści **Dwie**.

TREŚĆ. Jan Kochanowski, (wspomnienie), przez S. K.—Pogawędka.—Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie, (dokończenie).—Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Za Oceanem, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Августа 1884 года.